Kraków, 26-go Sierpnia 1905 r.

Rok 1. Nr. 4.



Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do Nr. 34 „Prawdy.“

Co opowiadał stary dzwonnik o krasnoludkach.

(Dokończenie.)

Wśród śpiewu i wesołej rozmowy przybyły dzieci do lasu i nawet nie uczuwały żadnego zmęczenia. W lesie grzybów było wbród. Rosły tam *borowiki* czyli *prawdziwki* (prawoki) *maślaczki* zwane także *koźlakami*, podbrzeźniaki, siniaki, *kurzajki*, czyli *kokotki*, *pieczarki*, *rydze*, *smarżdże* i wiele innych. Jaś i Małgosia zbierali tylko takie, które znane im były dobrze, jako niejadowite. Dużo bowiem w lesie rośnie grzybów, które zawierają soki trujące, a takich grzybów nie należy pod żadnym warunkiem używać na pokarm. Jeden mały grzyb trujący, zamieszany pomiędzy inne grzyby i razem z niemi przyrządzony do jedzenia może spowodować śmierć kilku osób. Wiedziały o tem dzieci, więc każdy grzyb obejrzały dokładnie, zanim go włożyły do koszyka.

Dzieci najchętniej zbierały prawdziwki i zapuszczały się za niemi w gąszcze leśne, bo tam ich było najwięcej.

A że oboje byli zawsze weseli, więc i przy tej bieganinie za grzybami przyśpiewywały sobie. Małgosia zaśpiewała najprzód ową znaną piosneczkę:

„Oj teraz, oj teraz
Na grzyby chodzą,
W jesieni, w jesieni
Jak się urodzą.“
„Tu grzybek, tu rydzek
Tu pieczareczka,
Tu Antek, tu Zosia,
A tu Kasieczka.“

A Jasiek zaśpiewał potem inną, której nauczył się od kolegów:

„Pogodna zorza z wieczoru
Pójdziem na grzyby do boru,
Pójdziem do boru na rydze,
Ale nie damy Jadwidze.
Nasza Jadwiga leniwa,
Tylko jej głowa się kiwa,
Nie chce do boru kosza nieść,
Nie będzie z nami grzybów jeść.“

Małgosi nie bardzo się podobała ta piosneczka, bo ją wstyd było, że to dziewczynka miała być leniwa. Tłomaczyła więc Jankowi, że dziewczęta nigdy nie są leniwe, ale Janek wciąż, jakby na przekorę śpiewał o owej „leniwej Jadwidze“.

Tak zeszedł im czas do południa. Dzieci zatrzymały się u brzegu strumyka, aby spożyć chleb, który im matka dała.

Upał był wielki, bo słońce stało wysoko i śmiało zaglądało przez gałęzie drzew.

Jaś i Małgosia miały wielką chęć położyć się na miękkej murawie i zasnąć. Jaś już nawet rozłożył się jak długi i ręce pod głowę podłożył. Małgosia jednak nie chciała zezwolić na takie lenistwo.

„Wstawaj, leniuszku“ wołała „umiałeś śpiewać o leniwej Jadwidze, a teraz samemu nie chce ci się koszyka do boru nieść.“

Nie pilno było Jankowi wstać, więc Małgosia nie czekając wstała i poszła dalej, spodziewając się, że Janek sam nie zostanie, tylko coprędzej za nią pobiegnie.

Nie daleko uszła Małgosia, gdy wtem posłyszała jakieś szmery za opodal stojącym, rozłożystym bukiem.

Ciekawie zajrzała poza szeroki pień drzewa i — omało nie krzyknęła z podziwu i radości.

Oto zobaczyła całą gromadkę krasnoludków, o jakich tak często opowiadała matka.

Małgosia nie dowierzała własnym oczom. Myślała z początku, że to jakieś robaczki i chrząszczyki tak się uwijały około pnia buku, ale kiedy przyjrzała się dokładnie, rozpoznała, że były to krasnoludki.

Malutkie to były istotki, ubrane w krasne kolorowe kubraczki i wysokie czapki, a tak się zwijały przy swej robocie, że patrzącemu na nie aż w oczach migotało.

Bo też nie lada pracą zajęte były owe krasnoludki.

Oto urządziły sobie wielkie pranie. Stały w strumyku po pas i prały z taką ochotą, że aż daleko w lesie słychać było plusk wody i chlastanie bielizny. Upraną bieliznę składały do koszyka, uplecionego z sitowia, wielkiego, a raczej malutkiego jak pięść. Niedaleko znów kilka owych krasnoludków rozciągało cieniuchne sznury pomiędzy badylami chwastów — widno, że zaraz chciały ową bieliznę suszyć.

Jakoż czterech z nich przyszło, aby dźwignąć i ponieść ów koszyk z bielizną.

Małgosia parsknęła śmiechem.

Było z czego się smiać, kiedy aż czterech zabrało się do koszyka, coby go można było jednym palcem podnieść z ziemi. Ale co ludzie wyrośli, to przecież nie krasnoludki. Oba karzełki brały się do pracy z wielką chęcią, ale kosza z bielizną dźwignąć nie mogły.

Małgosi żal się zrobiło malców.

„Dajcie spokój“ zawołała — my wam pomożemy. Przywołam zaraz Janka i my za was tę pracę zrobimy. Prać przecież i suszyć bieliznę umiemy, bo nas tego matusia nasza wyuczyła.

Pędem pobiegła Małgosia do miejsca, gdzie spał Janek, rozbudziła go czemprędzej i za chwilę już oboje dźwigali koszulki i prześcieradła krasnoludków do suszenia. Porozwieszały bieliznę pięknie a potem jeszcze wyprały resztę bielizny w strumyku.

Krasnoludki przyglądały się ciekawie, bo może też nie dowierzały, czy dzieci prać umieją.

Ale o to nie było obawy. Dobra matka Jasia i Małgosi przyuczała je przecież do pracy od maleńkości. Często one same prały sobie odzież, gdy matka chodziła na zarobek.

Tak opowiadały dzieci krasnoludkom o swej mateczce i o rodzeństwie młodszem, o braciszku maleńkim, który chodzić jeszcze nie umiał, ale już przecież większy był od krasnoludka.

Kiedy skończyły dzieci pranie był już wieczór.

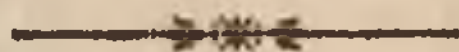
Wybrały się tedy w drogę do domu. Krasnoludki zbiły się w kupkę i coś pomiędzy sobą radziły szeptem; potem kilku z nich wzięło koszyk z grzybami i poniosło go dzieciom aż do brzegu lasu. Tam nad drogą postawili koszyk i zanim dzieci się spostrzegły, smyknęli w las.

Małgosia szybko pobiegła za nimi, lecz już ich nie zobaczyła — tylko w pośpiechu widać jeden z nich zgubił trzewiczek maleńki, nie większy od naparstka. Małgosia podniosła trzewiczek, aby nie zginął wśród trawy, a nazajutrz chciała odnieść go krasnoludkom.

Lecz jakże się dzieci zdziwiły, gdy w domu matka powiedziała im, że trzewiczek jest szczerozłoty, wysadzony drogiemi kamieniami.

Nazajutrz Jaś i Małgosia szukały krasnoludków przez cały dzień, lecz napróżno.

Krasnoludki już się więcej nie pokazały. Przeto matka Jasia i Małgosi sprzedała trzewiczek w mieście, a za te pieniądze kupiła kawał gruntu i chatę, gdzie żyła z dziećmi do późnej starości, ucząc je chwalić Boga i kochać wszystkich ludzi.



Ucz się, gdy chcesz coś umieć.

Józio zasiadł do odrabiania lekcyi. Właśnie zabierał się do wierszy, gdy wszedł do pokoju jego kolega, Karolek, i zaczął go namawiać, by poszedł na podwórze bawić się w piłkę. Józio zgodził się, odłożywszy lekcye na później. Bawili się chłopcy całe poobiedzie, o wierszach Józio zapomniał. Gdy rozbawiony ckłopczyk powrócił do domu, wieczerza była na stole, poczem zaraz kazał mu ojciec iść spać. Przypomniał sobie Józio o wierszach, lecz nie martwił się długo, włożył książeczkę pod poduszkę, sądząc, że tym sposobem wiersze wejdą mu do głowy. Nazajutrz chłopczyk wyjął książkę z pod poduszki i choć książka była pognieciona i połamana, Józio z dobrą miną poszedł do szkoły. Nauczyciel

zapytał o wiersze, a Józio nie umiał ani słowa. Przekonał się wtedy, że aby coś umieć, trzeba się uczyć.

ZAJĄC.

Raz zając żeby zostać mówcą znamienitym,
A w postaci swej własnej pozostać ukrytym,
I zadziwić mądrością, więc myszy zwołuje,
W okularach, w krawacie, człekiem się przedstawia,
Roztwiera wielką księgę, chrząka, odczytuje,
Lecz dziwi się, że mądrość wrażenia nie sprawia.
„Słuchajcie!“ mówi w końcu tupnąwszy z łoskotem,
„Ja was wszystkie ochronię przed morderczym kotem,
I sprawię to mą mową choć nie bardzo długą,



Że się stanie dla was najkorniejszym sługą.
Wytargacie mù uszy, stępicie pazury,
I jak podłego tchórza zagnacie do dziury.“
Myszy kręcą głowami wspięte na dwóch łapach,
Bo już z kotem nie w jednych były tarapatach
I wiedzą kto on taki.
Wtem najmniej lękliwa,
Wystąpiwszy naprzód, tak się doń odzywa:
„Mój Zającu kochany! chociażbyś się kazał,

Nie wiem jak tytułować, farbą się zamazał,
Chociażbyś się wystroił z większą starannością,
Zawsze poznać, że sprawę mamy z jegomością.
Najmędrsze ze słów twoich nic nas nie poruszy,
Bo widzimy niestety! twe zajęcze uszy."
Zając umknął jak zmyty, wstydem zrumieniony,
Poznawszy to, że każdy bywa ośmieszony,
Kto więcej obiecuje niż dotrzymać może.
Że tacy są i młodzi o to się założę.

NAFTA.

Przed laty czterdziestu nie znano nafty. Wszyscy palili świece łojowe lub stearynowe. Dziś mało się posługujemy świecami, palimy lampy naftowe.

Nafta nazywa się inaczej olejem skalnym. Nie wytryskuje ona ze skał, znajduje się pod powierzchnią ziemi w znacznej głębokości. Aby ją na wierzch wydobyć, trzeba wiercić w ziemi dużymi, żelaznymi świdrami. Gdy otwór dojdzie do zbiorowiska nafty, wtedy płyn naftowy, tak zwana ropa, wytryska jak fontanna. Takiej nafty nie można jeszcze używać, bo jest ona zanieczyszczona, a paląc się, wydawałaby swąd i tworzyła kopeć. Trzeba tę ropę oczyścić, a przez to otrzyma się naftę, czyli petroleum.

O ZAJĄCZKU.

Był sobie szary zajączek. Matkę mu ludzie zabili, młodsi bracia i siostry pozdychały z głodu, on tylko jeden pozostał. Miał już na przodzie pyszczka u dołu i u góry po dwa duże zęby, gryzł więc nimi korę młodą i trawę.

Wygrzebał sobie na miedzy mały dołek. Gdy nabiegał się dosyć przez noc całą, najadł się kapusty lub młodego owsa, siadał w swym dołku, spał przez dzień cały, mrużył przytem oczy, ale że miał krótkie powieki, więc mu się nie domykały i spał z otwartemi oczami.

Zajączek ten był bardzo bojaźliwy, gdy tylko usłyszał jaki szelest, nadstawiał swe długie uszy, wysuwał nogi i uciekał co sił. Czasem goniły go psy i już, już dopędzały, gdy zając szust! zawraca i uciekł w inną stronę. Psy, które się tego nie spodziewały, popędziły dalej, a zajączek zdołał umknąć. Nieraz udało mu się już uciec przed myśliwym i jego psami.

Oj! pilnuj się, pilnuj zajączku! bo myśliwy cię zastrzeli, skoki (nogi) i papruchy (wnętrzności) psom odda, a potem ze skóry cię obedrze, mięso upiecze i zje, a skórę sprzeda handlarzowi. Handlarz zawiezie skórkę do fabryki, tam włosy z niej zeskrobią i zrobią z nich filc na kapelusze.

Zagadka dla małych dzieci.

Zwykle się rozpływa, leje,
Czasem jak kamień twardnieje.
Bez niej trawy usychają
I zwierzęta umierają.

Rozwiązanie zagadki z Nr. 3:

GWIAZDY.